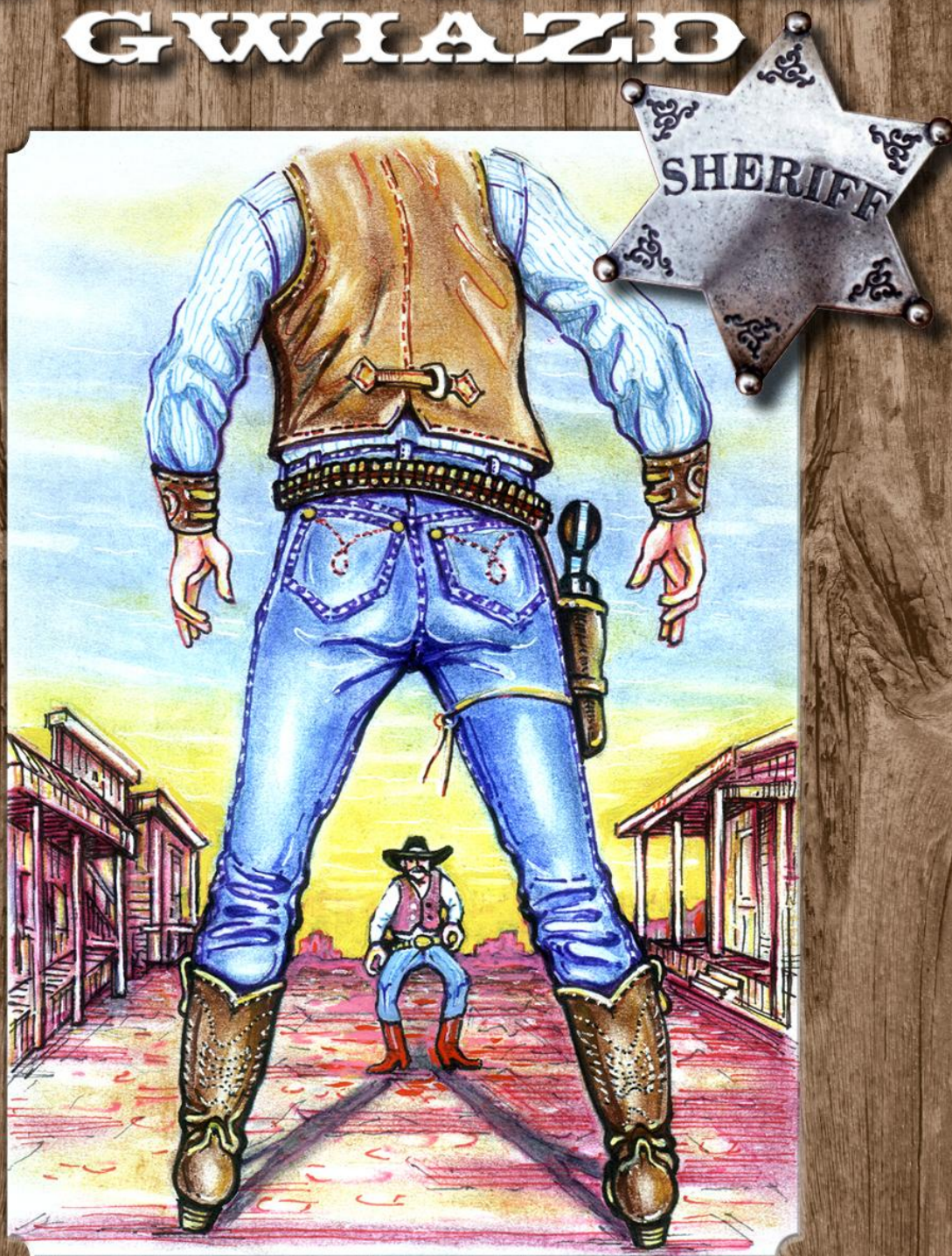


KRIS CEDRO

W BLASKU CYNOWYCH GWIAZD



Western jakiego nie było...

Krzysztof *Kris* Cedro

W blasku cynowych gwiazd

czyli western, jakiego nie było

Kraków 2018

Skład i korekta
Zespół Diversitas

Redakcja
Radosław Rabiański

Projekt okładki
Krzysztof Kris Cedro

Copyright © by Krzysztof Kris Cedro
Kraków 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja lub adaptacja całości bądź części niniejszej publikacji, niezależnie od zastosowanej techniki reprodukcji (drukarskiej, fotograficznej, komputerowej, etc.), wymaga pisemnej zgody Autora i Wydawcy.

BCC Sp. z o.o.
Wydawnictwo Diversitas

ISBN 978-83-7803-006-5

– Witaj w domu... – mruknął z przekąsem fryzjer, zerkając przez okno zakładu na ulicę.

Arizona pochłonięty badaniem własnego odbicia w lustrze, obojętnie zapytał:

– Mówiłeś coś, Seth?

– Aha... Mamy gościa – bąknął tym samym tonem fryzjer, pocierając posuwicie brzytwą po szerokim pasie.

Arizona rzucił okiem w stronę okna. Dostrzegł przesuwającą się za nim sylwetkę jeźdźca w wysokim kapeluszu. Trwało to jednak zbyt krótko, by mógł stwierdzić, co to za jeden. Pewne tylko było, że to jakiś obcy.

– Ranny ptaszek – zauważył, gryząc w zębach zapalną.

Fryzjer przestał pocierać brzytwą po pasie i spojrzał na zegarek wydobyty z kieszeni kamizelki.

– Ranny?... – rzekł z powątpiewaniem. – Już dziewiąta. Ten rudzielec nie jest dziś pierwszy na ulicy.

– Zgoda. Ale żeby dotrzeć tu o tej porze musiał zwinąć nocny biwak dość wcześnie. Nie spał przecież w siodle, ani gdzieś pod miastem – stwierdził rzeczowo Arizona.

– Może i racja. Ja się na tym nie znam – przyznał fryzjer, ostrząc z namaszczeniem brzytwę.

Arizona zaczął wiercić się niespokojnie w fotelu. Zawodowy instynkt zaczynał brać w nim górę.

– Ruszaj się, Seth! Muszę dowiedzieć się, co to za ptaszek, zanim szeryf Lovery zada mi to pytanie – ponaglił.

Oparł kark o zagłówek, ufnie wystawiając twarz ku górze, w oczekiwaniu na zimny dotyk stalowego ostrza.

– Pewnie. Skoro dałeś sobie przypiąć tę gwiazdę, musisz robić, co należy, i słuchać szefa... Tylko mnie nie popędzaj, bo nie jestem koniem – rzucił od okna mistrz brzytwy i nożyczek.

Przyjrzał się klindze pod światło, sprawdził jej ostrość na owłosieniu własnego nadgarstka i nie śpiesząc się przydreptał do fotela.

– Wypluj tę zapalną z gęby, bo przeszkadza – polecił, zmiękczając pędzlem gęstą, zasychającą pianę.

Odgarnął grzbietem ostrza jej nadmiar z długich baczków, strzepnął go na podłogę i, naciągając palcami skórę na policzku Boba, pociągnął brzytwą po jego zarostcie. Zachręściło, jakby to nie był młodzieńczy zarost, a uschnięta trawa.

Mimo chwilowego podniecenia, Arizona niczym kocur z lubością zmrużył oczy i maksymalnie rozluźniony zapadł w stan błokiego relaksu. Wcisnąwszy w brzuch kulkę, by uciszyć natrętne odgłosy burczenia, oddał się rozmyśleniu nad ustaleniem menu śniadania, którego nie zdążył jeszcze dzisiaj spożyć. Nie dane mu jednak było rozważyć tego sobie w spokoju.

Wtem!...

– Bang!!! – rąbnęło znienacka niby grom z jasnego nieba.

Ciszę rozdarł huk wystrzału, ostry brzęk tłuczonego szkła i jakiś przeraźliwy koci wrzask, jakby trafionego kulą zwierzęcia.

– Uważaj, do cholery! – syknął z bólu Arizona, odtrącając nagłym ruchem rękę go-librody, która wraz z brzytwą niebezpiecznie drgnęła.

Wyszarpnął spod brody zatkniętą za kołnierz serwetę i nerwowo obtarł nią namydlony policzek. Zapiekło. Rzucił okiem na białą płachtę, a widząc, że nasiąkając krwią, czerwienieje, zmiął ją w garści i odrzucił ze złością prosto w nos wystraszonemu fryzjerowi.

Niczym furia zerwał się z fotela, szybkim ruchem ściągnął z wieszaka kapelusz i, wciskając go na głowę, z impetem natarł na drzwi, omal nie wyważając ich z futryny.

Wypadł na chodnik, dobywając w biegu rewolwer, a stamtąd jednym susem na ulicę. Trwało to sekundę. Słyszcząc tętent, odruchowo wycelował, przebijając się wzrokiem przez kurz, w szybko oddalający się obiekt. Nie pociągnął jednak za spust.

Ulicą gnał jak oszalały, zmierzając ku jej wylotowi, jakiś spłoszony koń. Stwierdził, że to ten sam, którego przed chwilą widział przez szybę. Ale jeźdźca na nim nie było. Wypatrując go, wiedziony intuicją rozpuścił wzrok po ziemi i po chwili go zlokalizował.

Leżał nieruchomo twarzą do ziemi z odrzuconymi na bok rękami, w pozycji nie budzącej wątpliwości co do tego, że z tej drzemki nie ma przebudzenia.

Wodząc przed sobą lufą rewolweru, ostrożnie ruszył z miejsca.

Miasto jakby zamarło. Tylko tu i ówdzie, przywierając plecami do ścian, zastygło w bezruchu kilka wystraszonych postaci. Oceniając sytuację, stwierdził, że z ich strony

nie ma zagrożenia. W ogóle go nie było. Gdyby nie te leżące na jezdni zwłoki, można by powiedzieć, że wszystko jest w idealnym porządku... Cisza i spokój, jak zwykle o tej porze dnia, kiedy jeszcze za wcześnie było, żeby sobie golnąć głębszego na wzmocnienie. A to z tej prostej przyczyny, że saloon był jeszcze zamknięty. Dawało się jednak odczuć pewne napięcie spowodowane zagadkowością całej tej sytuacji. – Bo co to był za strzał?... Kto strzelał?... I dlaczego ten obcy, ledwie do miasta zawitał, leży teraz bez tchu w pyłe drogi?

– Witaj w mieście uciech – mruknął pod nosem Arizona, zbliżając się do miejsca wiecznego spoczynku przybysza.

Trzymając go na muszce, ostrożnie podszedł i kopnięciem wytrącił mu z dłoni rewolwer, zdziwiony, że ten w ogóle zdołał go wydobyć. Wszystko bowiem wskazywało na to, że strzał padł znienacka i z ukrycia.

Denat ani drgnął. Nie ulegało wątpliwości, że nie żyje. Brunatna plama wsiąkającej w piasek krwi była tego niezbitym dowodem.

Naciskając lekko spust, opuścił kciukiem odciągnięty kurek i schował colta do kabury. Czubkiem buta odwrócił ciało na wznak, chcąc zobaczyć, co to za jeden... Nie, nie znał go. To był jakiś obcy. Nigdy na takiego nie natknął się na swej drodze.

Ktoś gwizdnął. Nadbiegli i inni. Wbrew temu co mówiły przysłowia, że... długi nos nie przedłuża życia, a ciekawość to pierwszy stopień do piekła, po chwili miał już przy sobie asystę. Nie minęły dwie minuty, jak cała ulica zarośla się ciżbą cajgowych i drelichowych portek, wysokich butów i szerokich kapeluszy. Parę długich kiecek też się tam znalazło. Rejwach zrobił się jak na targowisku.

Że też nigdy takich nie brakuje – pomyślał zaciskając szczęki. – Co za ludzie! Choćby nawet leżała na ulicy beczka dynamitu z zapalonym lontem, gotowa lada chwila wybuchnąć, ciekawskich by nie zabrakło.

Łakomi sensacji, ściągali ze wszystkich stron miasta, byle tylko nie przegapić tego, co tu się będzie działo. Bo na nadmiar atrakcji nie mogli się skarżyć. Tu jedyną rozrywką najczęściej było... ptasie łajno na kapeluszu sąsiada. No, chyba że też podobny postrzelec, który po pijaku nadział się na zabłąkaną kulę. Nic zatem dziwnego, że frekwencja i tym razem była niezawodna.

No cóż... różne rzeczy, w różnych miejscach, przytrafiają się czasem ludziom. A na tej ulicy było wiele innych miejsc, gdzie można było zarobić kulkę. Ot, choćby przed saloonem, gdzie najczęściej dochodziło do pijackich porachunków i zwad. Dlaczego więc stało się to akurat tutaj? Akurat przed jedyną w mieście murowaną fortecą z zakratowanym oknem i okutymi drzwiami pod szyldem... „SHERIFF OFFICE”, którą najczęściej omijano szerokim łukiem i to z należnym temu miejscu respektem. Jeśli już ktoś tam wchodził, to przeważnie wbrew własnej woli, wciągnięty siłą przez szeryfa. Ewentualnie po to, by odwiedzić, a czasem i odbić aresztanta. Ale wtedy odbywało się to dość gwałtownie i hałaśliwie, co zwykle kończyło się sromotnie, bowiem szeryf nie był aż tak gościnnie, by zamieniać swój przybytek w otwarty dom dla każdego. I jednym zatrząskawał drzwi przed nosem, innym za plecami. Teraz jednak areszt świecił pustkami, co zachęty i powodu do złożenia w nim wizyty raczej nie dawało. Oprócz szeryfa i jego dwóch zastępców nie było tam żywej duszy. I powszechnie o tym wiadano.

Skąd więc ten trup przed urzędem?... Co to za jeden?... I co tu się, u licha, stało? Pytania te, wciąż bez odpowiedzi, kołatały się Arizonie po głowie.

Uderzyło go jeszcze jedno... widok świeżo rozbitej szyby w oknie urzędu.

Pełen niepokoju zadarł głowę, usiłując poprzez kratę i tkwiące w okiennej ramie odłamki szkła wnikać wzrokiem do mrocznego wnętrza. Spodziewał się zastać tam albo szeryfa, albo strażnika Freda, który był stałym rezydentem. Zarzucając sobie w duchu, że nie było go tam, gdzie być powinien, miał cichą nadzieję, że nie stało się nic takiego, co mogłoby któregoś z nich narazić na szwank. Strzał padł tylko jeden, a jego niewątpliwa ofiara gryzie właśnie ziemię. Kiedy więc dostrzegł w oknie sylwetkę szeryfa Lovery, odetchnął z ulgą.

– Szefie, to pan?! – zawołał głośno, żeby się upewnić.

– Arizona?! – zadudnił w odpowiedzi mocny, męski głos. – Czemu wrzeszczysz? Nie jestem głuchy... I gdzie się, u diabła, podziewasz?

– Właśnie robię obchód... – bąknął usprawiedliwiająco Arizona. – No i...

– Co, no i?... Nie wciskaj mi kitu, mądralo, tylko bierz się do roboty! – huknął szeryf, cofając się w głąb izby.

– Durny, stary muł – mruknął pod nosem Bob, rad jednak, że szeryf jest cały i zdrowy.

Stanąwszy w rozkroku, zawiesił wzrok na zwłokach, zastanawiając się, co robić.

– Ludzie... po co ten tłok!?!... Tylko przeszkadzacie! – krzyknął, usiłując zapanować nad sytuacją.

– Im nas więcej, tym weselej! – zagulgotał jakiś żartowniś.

– Myślisz, że to jakieś jaja?! – zganił go ostro Arizona.

I zaczęło się...

– Co się stało?

– Kto to?... Ktoś od nas?... Wygląda na takiego, który żyje z cyngla.

– A żyje?...

– Gdzie tam. Umarł w butach!... Arizona go kropnął.

– Za co?

– A kto go tam wie? Też ma palec przyrośnięty do cyngla.

– Niektórym podobno zabijanie zaostza apetyt.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem.

– Od kogo?

– A czy to ważne!... Tak mówią.

– Głupie gadanie!... Posłał ktoś po doka?

– Po doka?... Zgłupiałeś! Tu trumniarza trzeba, nie doka...

Padały chaotyczne zdania przesiąknięte niezdrową ciekawością.

– To szeryf tak go urządził! – oznajmił naraz facet w kraciastej koszuli.

– Kto?... Loverly? – zapytał, marszcząc brwi, Arizona.

– Jasne! Mamy tu innego szeryfa?

– Nie pleć bzdur! Widziałeś, żeby szeryf go sprzątnął?

– Widziałem, jak poszło w drzazgi okno! I jakiegoś kota – upierał się rzekomy świadek.

– Co ty chrzanisz?!... Kota?... Jakiego kota?

– Nooo...

– Łże jak z nut! Stał pod ścianą jak kołek. Dużo mógł widzieć – zawyrokował siwy facet o wyglądzie kaznodziei.

Był to Pat Graham, jednoręki zapiekły Jankes. Miejskowy spec od udzielania dobrych rad. Człek doświadczony i praktyczny, a zarazem naciągacz, co się zowie. Miał paskudny zwyczaj wtrącać do wszystkiego swoje trzy grosze, w nadziei na cudowne

przemienienie ich w trzy dolary. I czasem mu się to udawało. A wtedy w mieście było o jednego naiwniaka więcej, który swą osobą powiększał rzeszę jego dozgonnych wierzy-
cieli.

– A ty, stary, widziałeś? – zaperzył się kraciasty, obstając przy swoim. – Mówię wam, że to szeryf. Jak ten drągał dojechał do urzędu...

Ale Arizona nie dał mu dokończyć.

– Dosyć tego! – huknął. – Będziecie się tu kłócić?... Wszyscy pieprzycie jak naję-
ci! A ty, Cyrus, w szczególności. Chyba ci odbiło, żeby mówić, że to ja. – Wymierzył
palcem w jednego z nich.

– A nie?... – obruszył się wskazany. – Przecież dopiero co schowałeś spluwę do
kabury. Chyba nie zaprzeczysz?

– Trzymać broń, a strzelać, to chyba pewna różnica, nie? – zauważył cierpko Bob.

– To nie Arizona, to szeryf... – nie dawał za wygraną ten w kraciastej koszuli. Ale
dalsze słowa zagłuszył mu wyrośnięty ponad miarę młodzian w skórzanym roboczym
fartuchu.

– Ee... to nie nasz. To jakowyś obcy! – wybełkotał triumfalnie, jakby odkrył Ame-
rykę, i rzucił w leżącego gwoździem.

– Mądrała!... Powiedział, co wiedział – zachnął się Pat. – Pewnie, gamoniu, że ob-
cy, skoro go nikt tu nie zna.

– Ee tam... łapacz albo przybłęda... – bąknął młodzian, wydobywając z kieszeni
fartucha kolejny gwoźdź.

– Te, Ralf, coś taki rozrzutny?! Twój szef ma za dużo gwoździ w warsztacie?
Przydadzą się do zbitia trumny – obsztorcował chłopaka Pat.

Czeladnik stolarza na moment zawahał się, ale ostatecznie zignorował przytyk Pata
i zamierzył się ponownie.

– Ralf! – krzyknął ostro Arizona. – Słyszałeś, co powiedział Pat, czy chcesz kopa?

Ale Ralf już nie zdołał zatrzymać ręki w miejscu. Ostrzeżenie Boba podziało nań
jedynie na tyle, że trafił gwoździem obok.

Krąg gapiów z każdą chwilą coraz bardziej się zacieśniał.

Arizona rozpostarł szeroko ramiona, usiłując powstrzymać napór ciekawskich.

– Nie rozpychaj się tak, Abe! – fuknął na sapiącego tłuszciocha, torującego sobie
drogę łokciami.

– Też chciałbym coś zobaczyć – usprawiedliwiał się wścibski grubas.

– A co to... przedstawienie?

– A nie?... Mamy tu inny teatr?

Mrukliwy Pat podrapał się za uchem i, przestępując z nogi na nogę, flegmatycznie zauważył:

– Nie jestem pewien, bo ta gęba pasuje do wielu fotografii, ale... chyba znam tego jegomościa...

– Znasz?!... – wyleciało z kilku gardeł jednocześnie i wszystkie twarze, jak na komendę, z nietajoną ciekawością zwróciły się ku niemu.

Pat jednak przekornie nie kwapił się z udzieleniem odpowiedzi. Kiwając głową, spozierał to na leżącego, to w niebo, jakby tam szukając pomocy, po czym, mrużąc oczy, chrząknął i głośno przełknął ślinę.

Było to denerwujące, ale znając jego przewrotną naturę, nikt jednak nie ośmielił się go ponaglać.

Wreszcie zdecydował się... kaszlnął i wydusił: – No, może go i nie znam, ale chyba wiem, co to za jeden.

– No, to gadaj, chłopie! Na co czekasz? – rzucił niecierpliwie Arizona.

Pat obrzucił go karcącym spojrzeniem, ale by dłużej nie przeciągać struny, wyrzucił z siebie tylko dwa krótkie słowa, od których powiało grozą...

– Rudy Bill.

– Kto?!... Rudy Bill?...

Przez tłum przebiegł szmer i dreszcz poruszenia, w którym wyczuwało się wyrażenie i nutę przestachu i jednocześnie pewną ulgę, wynikającą zapewne z faktu, że właściciel owego imienia nie żyje.

Nie każdy wprawdzie nosił w swej pamięci bądź wyobraźni wizerunek żywego rzezimieszka o tym imieniu, bo tych wszystkich Rudych, Długich i Dzikich Billów, których poprzedzała zła sława i listy gończe o zapierających dech nominałach, było na Zachodzie bez liku, ale sama świadomość, że o jednego z tych niebezpiecznych drani jest teraz mniej, poprawiła ludziom humor.

– Skąd on tu się wziął?... – zastanawiał się głośno Arizona, wpatrując się usilnie w denata, jakby oczekiwał od niego odpowiedzi.

– Pewnie wiał, gdzie pieprz rośnie, bo ktoś mu deptał po piętach – zauważył Pat rezolutnie.

– Gówna prawda!... Jechał stępa... Mówię wam, że miał sprawę do szeryfa – nie odpuszczał kraciasty.

– Nie chrzań, Yul, i nie wyrażaj się, bo tu są dzieci! – warknął wąsaty, barczysty mężczyzna, odpędzając szturchańcami dwójkę maluchów, jakie się za kimś przyplątały.

– A może miał tu jakąś flamę, która teraz po nim płacze? – wtrącił ni to pół żartem, ni to z rozrzewnieniem, gruby Abe.

Stojąca tuż obok niego kobieta ciężko westchnęła i z całej siły wbiła mu łokieć w żebra. Aż go przygięło.

– Widzicie go... taki stary cap, a tylko jedno mu w głowie! – zapiszczała.

– To może być prawda, proszę pani. Ja ich znam, no nie?... Taki pogoni za człowiekiem aż na koniec świata. A jeśli to jest kobita, to jeszcze dalej – oznajmił autorytatywnie Johnny Eunuch, zwany tak z racji „zaszczytnej” funkcji portiera, pełnionej w pensjonacie o dość wątpliwej reputacji.

Połowicy grubego Abe’a błysnęły triumfująco oczy.

– A nie mówiłam?... Widzisz, stary, tak to się zawsze kończy. Wpierw fatalaszki, spódniczki... fiubździau, a potem wyciągać trzeba z tego za nogi. Jak tego tu powsinogę.

– Mabel, skąd ty możesz wiedzieć, czego on tu chciał? – spytał łagodnie Abe.
– Może był przejazdem. A może uciekał od jakiejś sekutnicy, która ciosała mu na głowie kołki.

– Dobrze sobie! – wybuchła kobieta. – No... powiedz jeszcze, że od takiej, jak ja. No... słucham?!... Mocny Boże! Że też wytrzymałam z takim typem przez dwadzieścia pięć lat!... Abe! Lepiej przestań bronić tego łajdaka, bo od dziś będziesz spał w stajni ze swoim koniem.

Ludzie parsknęli gromkim śmiechem.

Abe odwrócił głowę w lewo, potem w prawo i, mrużąc filuternie oko, spróbował odeprzeć atak żony dowcipem.

– He-he... nie wyjdę na tym źle! – zarechotał. – Ona – wskazał kciukiem na nastrozoną niewiastę – tak, jak i inne, cholernie lubi, kiedy chłop pachnie koniem.

Spojrzał na nią z góry i z nonszalancją wypułł odgryziony czubek cygara.

– Ludzie, trzymajcie mnie! – zaatakowała z furią żona. – Taki stary piernik będzie mi tu robił wykład o pachnidłach!

Silnie pchnęła go w ramię i, nachyliwszy głowę, zaglądnęła mu głęboko w oczy.

– Skoro takiś mądry, to powiedz no, stary draniu, ileś to miał tych czułych na zapachy dziewczek?... No... przyznaj się, proszę, niech i inni się dowiedzą.

Zrobiła wyczekującą pauzę, ale najwyraźniej nie liczyła na odpowiedź, bo szybko, z satysfakcją, sama jej udzieliła.

– No to ja wam powiem... Skubały go, jedna po drugiej, dwie żdziry i lafiryndy o pogańskich imionach, z tego waszego... tfu, wstyd powiedzieć... pensjonatu. Myślisz, że jestem ślepa i nie wiem?... – szturchnęła go znowu. – No to się grubo mylisz, spaślaku! Może nie?!...

– Pardon, pani Johnson, ale co pani ma przeciwko „Pięknej Gwiazdzie”? – zaprotestował urażony Eunuch.

Zanim jednak połowica Abe’a zdołała przytoczyć miażdżące argumenty, ktoś głośno zażartował.

– Widocznie Abe przestawał z niewłaściwymi babkami lub złymi końmi. Dla niego najlepsza byłaby blondynka z książką.

Wkoło ponownie gruchnęło śmiechem.

– Co takiego?!... Ja mu dam blondynkę! – zaperzyła się jeszcze bardziej kobieta. I naraz osłupiała. – Z jaką znowu książką?... Abe!! Od kiedy to umiesz czytać?

Gruby Abe wyraźnie miał już tego dosyć.

– A kto mówi, u diabła, że umiem?! – fuknął ze złością, unikając świdrującego na wylot spojrzenia żony. – Co cię, stara, ugryzło?

– Co mnie ugryzło?! – wrzasnęła. – Jeszcze o to, draniu, pytasz?

– Daj spokój, kobieto, ludzie patrzą. Czemu się tak znęcasz? – rzucił grubas, rozglądając się z zażenowaniem dokoła.

– Niech patrzą!... Niech się dowiedzą, jakie z ciebie ziółko!

– Jesteś, Mabel, robaczywa od środka. Czy musisz, aż tak deptać człowiekowi po nagniotkach?... Co za życie?... Rzygać mi się chce! – zgrzytnął Abe z wyrzutem.

Cisnął na ziemię dopiero co zapalone cygaro i, dodając pod nosem parę siarczystych ozdobników, przy pomocy łokci wy dostał się z ciasnego kręgu.

Z czego skwapliwie skorzystała i jego żona, podążając jak niepyszna za nim.

Zwolnione przez nich miejsca niezwłocznie wypełniło dwóch rośliwych wyrostków w zbyt dużych jak na ich wiek kapeluszach, wyglądających na pierwszy rzut oka na braci bliźniaków. Po bliższym jednak przyjrzeniu się im, jeden wydawał się nieco starszy. I właśnie on, korzystając z chwilowego spadku napięcia pośród zebranych, zauważył:

– Kurde!... To ten... rudy! Jechaliśmy za nim.

Arizona przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Jechaliście?... To znaczy kto?

– Ja i mój braszka, Joe – rzekł młodzian, sztucznie zniżając głos, by uchodzić za starszego.

– Chcesz powiedzieć, że to wasza sprawka?

– Ee tam!... Gdyby my wiedzieli, że on jest ścigany, dalibymy mu do wiwatu.

– Rąbnęlibyście go?

– A czemu by nie?... Jeśli nie za frajer?

– A tak w ogóle, to ty kto?

– Jack.

– A dalej?... Chyba masz jakieś nazwisko?

– Mam. Takie, jak mój ojciec.

– No, mów, do cholery!... Co cię tak zatkało?

– Crook.

– Tak, jak Indianiec?

– Nie... jak generał – szepnął dumnie młodzik.

– Skąd jesteście, bo chyba nie z księżycy?

– Z Oregonu. Przyjechalimy w odwiedziny do chrzestnego.

– No, to też kawał drogi... I który to, ten chrzestny?

– Wuj Seth.

Arizona osłupiał.

– Seth Goldman?... Fryzjer?... Nic mi nie mówił, że ma gości.

– Bo wpierw przyszlimy tu.

– A gdzie wasze konie?... Bo na broń chyba jesteście jeszcze za młodzi.

– Co, pan?... Stuknęła mi już osiemnastka. Konia i karabin mam.

– Jednego konia na dwóch?

– To mocny ogier. Wystarczy.

– A nie za wcześnie tak udawać dorosłych? Tu są same śmierdzące sprawy. – Dopóki nie wdepniesz w łajno, nie wiesz, czym to pachnie – wtrącił filozoficznie Pat. – Chcą być dorośli, to już czas, żeby się do tego przyzwyczajali. A wam coś doradzę – zwrócił się do chłopaka. – Łyknijcie sobie w barze po szklaneczce...

– Mamy się napić gorzały? – zapiali obaj zdziwieni, przerywając mu.

– Właśnie. Bo, widzicie, to jest tak... – ciągnął pouczająco Pat. – Dorośli po gorzale zachowują się jak dzieci. Jeśli wy po niej zaczniecie udawać dorosłych, będzie to znaczyło, że jeszcze do śmierdzących spraw nie dojrzeliscie. Dotarło?

Zaprzeczyli, kręcąc głowami.

– No to ja wam wytłumaczę... – zaoferował się Bob. – Za dorosłych będziecie mogli uważać się wtedy, kiedy ktoś zamiast kopniakiem poczęstuje was kulką... Jasne?... Albo jak wuj Seth was ogoli. Wtedy pogadamy jak równy z równym.

Ten i ów zarechotał, ale młodzieńcom jakoś nie było do śmiechu. Nieco zbici z tropu, popychając jeden drugiego, niechętnie opuścili zbiegowisko.

Niektórzy gapie zwolna też zaczęli ustępować z placu boju. Zrobiło się nieco luźniej.

– Ralf... ty nie odchódź! – zatrzymał Bob oddalającego się czeladnika. – Jesteś tu potrzebny. Ten facet nie może zbyt długo wylegiwać się na słońcu, bo mu to zaszkodzi. Trzeba go zaciągnąć do stolarni, kapujesz?

– Jeszcze by nie. Ale musi poczekać, aż wrócę – zaskrzeczał Ralf, podrzucając gwoździe na dłoni. – Muszę coś wrzucić na ruszt. Od rana nie miałem nic w gębie.

– To jest ruszt – zauważył Arizona, wskazując palcem na ulicę. – Zaraz się usmaży.

– Spoko, nic mu nie będzie. A ja zdechnę, jak czegoś nie zjem. I będzie dwóch umarłaków.

– Człowieku... będziesz teraz mógł jeść!? – zachnął się z obrzydzeniem Arizona.

– A czemu by nie?... Ja zawsze mogę. Tyle czasu robię u Holta, to żem się już przyzwyczaił. Trumna czy stół... żywy czy trup... co za różnica? – wyznał szczerze Ralf.

– A niech cię! – mruknął Bob. – Bierzcie się z majstrem do galopu... A spróbuj tylko nie wrócić!

– Spokojna głowa! Tyle rabanu o jednego trupa – bąknął Ralf odchodząc.

Naraz, w zakratowanym oknie urzędu ponownie ukazała się gładko uczesana głowa szeryfa Lovery.

– Co to za hałasy, do cholery?! Nie możecie robić tych swoich wieców gdzie indziej? – zawołał, wytrącając lufą z okiennej ramy kawałek rozbitej szyby.

– Nie da rady, szeryfie!... Sępy są tam, gdzie leży padlina! – odkrzyknął jakiś wesolek.

– Co się stało?... Znowu jakaś rozróżba?

– Już po – oznajmił Arizona. – Mam tu faceta z dziurą w głowie, sztywnego jak dyszel.

– I dopiero teraz mi to mówisz! – huknął szeryf. – Co za jeden?

– Nie zdążył się przedstawić. Ale Pat twierdzi, że to niejaki... Rudy Bill.

– Kto?!... Rudy Bill?... Też wymyślił. A nie Dzikie albo... Ślepy? Phe!... Rudy Bill... – powtórzył z przekąsem.

– Pat mówi, że był za nim list gończy. Że wisiał u nas na ścianie.

– Wisiał, a teraz leży? – zakpił szeryf i w zamyśleniu dodał: – Powiadasz... Rudy Bill?... Gdzieś mi się już o uszy to obilo... Czy to nie ten zabójca szeryfa z Tucson?... Bill Dudley z Arkansas?

– Chyba ten sam – potwierdził Pat. – Smród ciągnie się za nim jak za wojskiem. No i trafił na swego.

– To znaczy na kogo?

– To już wasza sprawa, żeby to ustalić. Mnie tam nic do tego.

– Może Fred ma jeszcze gdzieś tą klepsydrę, bo to jego hobby – wtrącił Bob pół żartem, pół serio.

– Co... Fred?... Znowu coś ode mnie chcecie?... Jak nie do Pana Boga, to do Freda, co? – zakłapał naraz starszy jegomość w wysokim kapeluszu, który – jakby wywołany słowami Arizony – wykuśtykał zza węgła budynku. – Tylko jeszcze konie nie robią mi kłopotu. Chociaż ten twój narwany ogier... – zawiesił głos, grożąc szeryfowi palcem.

– Dobra, dobra... Gdzie cię лихо nosi? – zapytał władczym tonem szeryf.

– A bo co?... Mam się przed tobą spowiadać? – fuknął strażnik, wchodząc po schodkach na ganek. – Byłem w stajni. Mógłbyś bardziej zadbać o tego swojego potępieńca. To diabeł, nie koń! – dodał, otrzepując ostentacyjnie ubrudzone dłonie.

Na moment zatrzymał się i zawiesił wzrok na zbiegowisku.

– Dawno nie było tu przedstawienia – mruknął. – Słyszałem, jak walnęło. Kogo dziś wyniosą nogami do przodu?

– Pamiętasz, Fred, Rudego Billa z tych twoich afiszy? – zapytał szeryf. – Nazywał się bodaj... Dudley.

– Moich afiszy... – powtórzył Fred z przekąsem. – Pamiętam i nie. Mało to prze-wala się przez moje ręce tej makulatury?... Może i wieszałem takiego na gwoździu... Szkoda, że tylko na gwoździu! – zaznaczył. – A czy był rudy?... Nie wiem. Na fotce tego nie widać.

– Jeśli to ten sam, to nie ma co go żałować. Lubił celować do gwiazd, tych cyno-wych, i patrzeć, jak one spadają – wtrącił Pat.

– Sukinsyn!... – zgrzytnął szeryf. – Skąd się tacy biorą?

– Z ojca i matki – rzucił kpiąco Fred i zapytał: – I kto ten szmal teraz zgarnie?

Arizona, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych, z irytacją zapytał:

– No, czego się tak na mnie gapicie?... Mam powiedzieć, że to ja?

– Nie zdziwiłbym się – rzekł szeryf, kiwając znacząco głową. – Skoro byłeś na uli-cy... Sam sobie przecież w łeb nie palnął.

– Kto go tam wie. Ponoć to był świr. Zresztą mógł go rąbnąć każdy... Może ogło-simy konkurs na to, kto to zrobił. I zakłady... – zażartował Arizona i podejrzliwie zapytał: – A co się stało z tym oknem?... Ktoś rzucił kamieniem? Szeffie... czy aby ktoś nie pró-bował wyrównać z panem zaległych rachunków. Na przykład... ten tam? – ruchem głowy wskazał na leżącego.

– Spróbowałby! A nie zdążyłby wykonać rachunku sumienia! – warknął szeryf z groźbą w głosie.

– Chce pan powiedzieć, że... strzelał?... To by się nawet zgadzało z tym, co mówi ten Kanadyjczyk.

– Który?

– Ten w kraciastej koszuli. Ten... tam, na lewo – wskazał palcem Bob.

– Co za pajac! – mruknął z dezaprobatą szeryf. – Jak można w czymś takim cho-dzić?... I on mówi, że strzelałem?

– Nooo... tak mówi.

– To dobrze mówi – przyznał Loverly.

– Jak to?... To... to znaczy, że jednak pan strzelał?

– A co?... Miałem może czekać na czyjeś przyzwolenie? Już od dawna się na niego szykowałem... Tak wałęsałem do tego rudego zasańca, aż zakwiczał.

– Do... Rudego Billa?!

– Do jakiego Billa?... Nie rozpędzaj się tak, młokosie! – przystopował Arizona szeryf. – Do rudego zasańca tej starej wiedźmy Dolores.

– Strzelał pan do kota? – zapiał Arizona, nie mogąc opanować zdziwienia.

– Przecież nie do tygrysa! Chyba jasno się wyrażam, nie?... Upodobał sobie bydlak do polowań na dokarmiane przez Freda gołębie akurat balustradę przed moim oknem. Miałem czekać, aż mi nafałda na głowę? Wlażł pod lufę, to i oberwał za swoje. Coś się jeszcze komuś nie podoba?

Ponieważ wszystkich zatkało, zwracając się do Freda, dodał:

– A z tymi twoimi ptaszyskami też należałoby zrobić porządek. Obsrywają tylko cały parapet i ganek. Co to, do cholery... gołębnik?

Fred, przygaszony, reprimendę zmilczał, ale Arizona nie ustępował.

– Czemu przez szybę? Mógł pan otworzyć okno.

– Żeby go spłoszyć?... Masz zmartwienie, kawalerze?... Z własnym oknem chyba mogę robić, co mi się podoba, nie?

– I chybił pan?

– Te, młody... mam pokazać na tobie, jakie mam celne oko!? – zaperzył się, szeryf sięgając do kabury.

– Okay, okay... – uspokoił go Arizona. – Mówię tak, bo tam nie ma żadnego kura, tylko ten rudzielec na drodze.

– To go sobie poszukaj, a potem daj wypchać, jak znajdziesz. I się pośpiesz, bo pewnie już go tam pod chodnikiem muchy i szczury obsiadły. Też mi problem... szyba i kot!

Arizona omiótł wzrokiem pas ziemi przed ich gankiem, ale słowa szeryfa przerwały mu dalszą penetrację.

– No, dość gadania! Postaraj się wyjaśnić sprawę do końca... kto, co, jak i dlaczego? Jak ktoś to zrobił honorowo, nie z ukrycia, nagroda go nie ominie. Powiadomię szeryfa stanowego i potwierdzę własnoręcznym podpisem. Jasne?... No to do roboty!

Skinął ręką na odczepnego i cofnął się w głąb izby.

Widząc, że wraca Ralf, Arizona oderwał wzrok od okna. Skrzywił się z niesmakiem na widok trzymanyh przez niego w dłoni złożonych piętrowo dwóch pająd chleba, w które ten raz po raz zatapiał swe końskie zęby.

Stanąwszy nad ciałem, nie przestając przeżuwać, wybełkotał:

– Majster kazał zapytać, kto za tę skrzynkę zapłaci. Mówi, że za ostatnią trumnę nie dostał ani centa... Powiada, że takich to można chować we worku.

– A to ci liczykrupa! – parsknął z wymówką Bob. – Po ostatnim kliencie zafasował siodło i buty z krokodylej skóry. Nie mówiąc już o drobiazgach, jakie tamten miał w kieszeni. I jeszcze mu mało?

– Ja tam nie wiem... ja mu tylko pomagam – bąknął Ralf. – Mówię tylko, co mi majster kazał, nie?

– Dobra, zrobimy tak... – zdecydował Arizona po chwili namysłu. – Ten pochówek też musi się odbyć na koszt miasta, ale żeby Holt nie narzekał, że się go wykorzystuje, niech zatrzyma sobie to, co znajdzie przy zwłokach. Byle nie wyrywał mu złotych zębów, jeśli ten takie ma – zaznaczył.

– Co on może przy sobie mieć?... To gołodupiec, włóczykij – rzekł z powątpiewaniem Ralf.

– No to zobaczmy. Przy świadkach, żeby potem nie było plotek. To nawet dobrze, kiedy tacy, jak on, sami płacą za swój pogrzeb. Przeszukaj go – polecił Bob.

Ralf, przytrzymując zębami kanapkę, zaczął dokładnie obmacywać denata. Splądrował ruchliwymi paluchami każdy zakamarek jego odzienia, nawet specjalnie nie uważając, by nie upaść ich we krwi. Po markotnym wyrazie twarzy dało się wyczuć, że efekt tych poszukiwań jest raczej mizerny.

Wstał z klęczek i, wyciągając przed siebie dłonie, pochwalił się zdobyczą. Trzymał w nich duży srebrny zegarek bez dewizki, miszek z tytoniem, bibułki do skrętów, jakąś miedzianą, przestrzeloną monetę, długi nóż typu „Bowie” i trochę bilonu wymieszanego z rewolwerowymi łuskami. Pomagając sobie barkiem, wepchnął do ust ostatni kęs i śliniąc się niewyraźnie wymamrotał:

– Niewiele tego.

– Wystarczy! – stwierdził stanowczo, Bob. – To samo powiedziałby szeryf. Za taki majcher można kupić nie tylko parę desek na trumnę, ale całego cielaka, więc nie narzekaj.

– Okay, nóż dla mnie, a dla szefa...

– Wszystko dla szefa. Dla ciebie to, co ci sam da, kumasza? A teraz rób co trzeba – polecił Bob.

– Dobra... dobra... – bąknął osiłek, niechętnie chwytając nieboszczyka za cholewy. – Do dupy z taką robotą – warknął.

Ale polecenie wykonał, jak należy, i po chwili został za nimi na ziemi długi wężykowaty ślad, wyżłobiony głową wlezonego.

Arizona kopnięciem odtrącił z drogi kapelusz. Podniósł z ziemi rewolwer leżący obok zabitego i dmuchnięciem odkurzył go.

– Wypadł mu, czy go wydobył? – zastanawiał się, ważąc bębenkowiec na dłoni po, czym zatknął go za pas.

Kiedy już głównego aktora przedstawienia zabrakło, gapie, komentując między sobą zajście, powoli zaczęli się rozchodzić. Na miejscu pozostał tylko stary Pat. Nie śpiesząc się podszedł do Boba i półgębkiem zagadnął.

– No i co... wiesz już, kto go kropnął?

Bob wzruszył ramionami.

– A ty może wiesz?

– Może...

– Widziałeś, czy jesteś jasnowidzem?

– Wystarczy pomyśleć – rzekł Pat, drapiąc się po owłosionej piersi. – Taki duży chłop powinien sobie poradzić z małym kłopotem. Nic ci nie mówi to wybite okno? Noo... rusz głową... przecież Lovers sam się przyznał.

– Do tego, że strzelał do kota Dolores, a nie do tego łązgi.

– Jedną kulą zdmuchnął ich obu... Tylko pomyśl, wszystko trzyma się kupy. I on już chyba sam się tego domyśla.

– Że sprzątnął rudzielca?... No to w czym problem?

– Bo on się nie przyzna.

– Jak to?

– Rąbnął go przypadkowo zza okna. Słyszałeś, co powiedział?... Że nagrodę zainkasuje ten, kto użył broni honorowo, nie z ukrycia. Ma chłop swe zasady i już.

– Fakt – przyznał Bob. – Jeśli ustrzelił dwóch rudzielców naraz, kiedy ten drugi nawet nie zdążył kiwnąć palcem, to pewnie się nie przyzna, bo przeczyłby temu, co sam mówi, bo taki pieniądz śmierdzi.

– I o to właśnie chodzi, żeby tak postąpił.

– Nie rozumiem – rzekł Arizona, przeszywając Patą wzrokiem na wylot, tak jakby ten był przeźroczysty. Zatrzymał spojrzenie, hen daleko, gdzieś aż na linii horyzontu.

– Chłopcze, obudź się... – fuknął Pat zniecierpliwiony. – Szukasz pomocy u Pana Boga, co?... Tylko nie masz pewności, czy On cię jeszcze pamięta?... Znam ten ból. W życiu próbowałem wszystkiego prócz spowiedzi, bo wątpię, czy On takim jak my wierzy. Lubię cię, więc nie chcę być świadkiem twojej klęski. A jak mnie wysłuchasz, tak się nie stanie. Słyszysz?

– To nie to, co myślisz – wyjaśnił Arizona. – Wypatrywałem jego konia, który dał nogę. Ładna sztuka! I mógł mieć przy siodle coś interesującego.

– Na przykład... co? Myślisz, że obrobił bank?

– Nie wiem. Mnie podobał się koń.

– Nie oszukuj się. Co może być bardziej interesującego niż worek pełny złota? Konie to głupie stworzenia. Rozum mają tak jak baby w... nogach. Potrafią tylko wierzgać i uciekać. Dlatego przestałem ich używać.

– Kogo... bab, czy koni? – zakpił podchwytliwie Arizona.

– Ech, człowieku, w moim wieku?... – westchnął ciężko Pat.

Arizona pokiwał głową z udawanym politowaniem i przeciągnął dłonią po twarzy, jakby sprawdzając efekty zabiegów fryzjera. Syknął z bólu, bo znowu zapiekło.

– Krwawisz – zauważył Pat. – Zaciąłeś się przy goleniu?

– Jakbyś zgadł. To robota Setha. Cholerny golibroda!

Wyjął z kieszeni kamizelki bibułki do skrętów i jedną z nich przykleił na skaleczony policzek. Wyrzebał z mieszka szczyptę tytoniu i uformował w palcach niezbyt foremny skręt. Zapalił i zaciągnął się głęboko dymem.

– Musisz palić coś, co tak śmierdzi? – zapytał Pat pokaszując.

– Śmierdzi?... – zdziwił się Bob, oglądając z uwagą papierosa. – Nic nie czuję. Ty nie palisz?

– Nie. Skończyłem z tym dawno temu. Rzuciłem tytoń dla... rumu.

– I jak wychodzisz na tej zamianie?

– Sam spróbuj, to się przekonasz... Ale wróćmy do tematu – rzekł Pat ściszym głosem, rozglądając się podejrzliwie na boki.

– Ojczulku, nie teraz. Mam klina we łbie. Nie wbijaj mi go głębiej – wzbraniał się Arizona.

Pat jednak nie ustępował.

– To ma właśnie związek.

– Z czym?

– Z twoim kłopotem. Zaraz ci to wyłuszcę, tylko mi nie przerywaj – rzekł tajemniczo Pat, wykrzywiając twarz grymasem bezzębego uśmiechu. – Możemy na tym nieźle zarobić.

– My?!... – wytrzeszczył oczy Arizona.

– My. Jak spółka, to spółka. Tylko gęba na kłódkę! – ostrzegł Pat, mierząc go spod nastrozonych brwi.

– Co ty pieprzysz?... Jaka znowu spółka?... Na czym możemy zarobić?

– Bob, do cholery! Bo pomyślę, że jesteś tępą – zirytował się Pat.

– Okay, no to gadaj, o co chodzi.

– Spokojnie, coś taki narwany?... Wpierw mi obiecaj, że mnie nie wykołujesz. Umówmy się, że fifty-fifty. Zgoda?

Arizona wciąż nie mógł zrozumieć.

– Ale niby, co mamy dzielić?

– Jeszcze nie łapiesz?... Nagrodę! – rzucił Pat triumfująco. – Nie pozwól tej forsie się zmarnować. Nie weźmie on, nie weźmiesz ty, to przeleci koło nosa. I zostanie w banku albo zgarnie ją jakiś cwaniak, który powie, że to jego robota i podstawí swego świadka. To czemu nie mielibyśmy zrobić tak my? Przysięgałeś bronić prawa, więc jesteś bardziej wiarygodny.

– Chyba ci odbiło!... Nagrodę za Rudego?... Jak to sobie wyobrażasz?

– Normalnie! – ożywił się Pat, naciągając opadającą szelkę. – Wolisz liczyć na głos rozsądku, czy na bezmyślną uczciwość?... Ty się przyznasz, żeś go ustrzelił, a ja to przy świadkach potwierdzę. Proste?

– Człowieku, masz mnie za durnia?!... Chcesz, żebym kłamał w żywe oczy?... Ani mi się śni! – niemal krzyknął Arizona

– Ciiiicho! – syknął Pat. – Czego się wydzierasz?... Chcesz, żeby wszyscy słyszeli? Chodź, odejdźmy trochę dalej od tej waszej fortecy, bo Lovery gotów jeszcze coś wywęszyć.

Ujął Boba za łokieć i, ruszając z miejsca, pociągnął lekko za sobą.

Przeszli kawałek główną ulicą i przed grosernią McGlynnna skręcili w krótką, mniej uczęszczaną przecznice, przy której stały tylko dwa budynki.

Pat rozglądnął się dookoła i bez trudu znalazł to, czego szukał. Wywrócone do góry dnem stare koryto na wodę w sam raz nadawało się do siedzenia. Z wyraźną ulgą ułożył się na nim, wyciągając przed siebie nogi. Uchylił kapelusz, zgarnął palcami włosy i nałożył go z powrotem.

– Te stare kości... – mruknął, rozcierając dłonią bolące krzyże. – Ciebie też to czeka.

– Dobra, dobra, nie zagaduj, tylko mów, co masz do powiedzenia, bo mam mało czasu – ponaglił go Arizona.

– Spokojnie! Co nagle, to po diable – ostudził go Pat. – Żebyś nie miał sobie nic do zarzucenia, wyznam ci powody, dla których cię do tego namawiam. Bo nie robię tego z chciwości... No więc, poskładajmy sobie do kupy wszystkie fakty i rozważmy je na zimno... Po pierwsze... Kiedy padł strzał, byłeś na ulicy. Zgadza się?

– Byłem.

– Miałeś w ręku spluwę?

– To się wie! Zawsze, gdy trzeba, mam.

– Strzelałeś?

– Do kogo? Mówiłem już... ten rudzielec leżał już jak długi.

– Ale mogłeś to zrobić?

– Strzelić?... Co za pytanie? Do faceta, co sięga po broń – zawsze!

– A więc sięgał.

– Kto tak mówi?... Nie!... Zresztą nie wiem. Było kawałek, dokładnie nie widziałem... Ty, Pat, w co ty mnie chcesz zrobić!? Mówiłem już, że leżał.

– No dobrze, już dobrze... Gadanie z tobą, to jak gadanie z koniem o pogodzie – przyciął mu Pat. – Powiem więc wprost, bez owijania w bawełnę... Powiedzmy, że ja to wszystko widziałem... Gość sięgnął po broń, ale ty byłeś szybszy. I tak na honor za-

świadczę. Przed Bogiem, szeryfem i ludźmi. Co tam! Nie takie grzechy ma człek na sumieniu.

– Nie podoba mi się to – rzekł Bob. – Przecież padł tylko jeden strzał. Jak to wytłumaczyć?

– O, rany! Oświadczysz szeryfowi, żeś strzelił akurat w tym samym momencie, co i on, a ja to potwierdzę. Przecież mogły paść jednocześnie dwa strzały, nie? To się zdarza. No i słyszałem, jak ktoś z tłumu twierdził, że widział, że to ty.

– Ee, tam... Cyrus, zezowaty gnojek.

– Ale świadek. A to się liczy. Im nas więcej, tym lepiej.

Arizona jednak nie był tym wywodem nazbyt przekonany.

– Człowieku, przecież gdy huknęło, siedziałem jak raz u fryzjera. I Seth, ani chybi, w razie czego to potwierdzi. Miałbym wyjść na oszusta i łgarza?

– Seth jest tępy, jak te jego cholerne brzytwy! – orzekł stanowczo Pat. – I nie będzie w żadnym razie głosu zabierał. Już moja w tym głowa.

– Zamkniesz mu gębę szantażem?

– Jakim szantażem?... Wystarczy, że zakaszę rękaw i stanę przed jego budą jako żywa reklama, z napisem: „Strzyżenie, golenie, amputacje”. Zobaczymy, ilu po tym zostanie mu klientów.

– Ha, ha, ha!... A toś, chłopie, wymyślił! A niech cię! – parsknął Bob, waląc dłonią po udzie.

– Po drugie... – ciągnął Pat – Lovery kropnął faceta przypadkowo i się chyba tego domyśla. Ale zawodowa ambicja nie pozwala mu się przyznać. I tego nie robi. Ułatwisz mu wyjście z niezręcznej sytuacji.

– Myślisz, że szeryf jest taki głupi i da się na to nabrać? – zachnął się Bob. – Flaki nam powypruwa!

– Pewnie, że będzie wiedział, co jest grane, ale jak odrzuci naszą... twoją wersję, będzie miał problem nadal. Bo to, skąd mu się wziął trup przed nosem, będzie musiał wyjaśnić tak czy owak. Gdy już zgarniesz szmal, kupisz mu w rewanzu kwiaty...

– Kwiaty?!... Czyś ty, stary, ocipiał?... A co to... dziewczyna? – zapiał Arizona.

– No to da je jakiejś dziewczynie. Na przykład swojej Melanii. Albo dasz mu w prezencie... pudełko hawańskich cygar, lub flaszkę burbona.

– Jeśli na to wystarczy. Ciekawe, ile tego może być? – zastanawiał się Arizona.

– Dobrze pytanie, ale do Freda. Na pewno obaj tyle razem nie mamy.

– A tobie, za co należy się połowa?

– Za pomysł. Sam byś na to nie wpadł. W życiu nie ma: zmiłuj się. Albo głos rozsądku, albo bezmyślna uczciwość... Wybieraj!

– Sam nie wiem... – wahał się Bob.

– Forsa ci się nie przyda?... Nie masz długów?

– Kto ich nie ma?

– I jeszcze się zastanawiasz?

– Dopiero co zaprzeczałem, że to nie ja, a teraz mam się przyznać? Wyjdę na krętacza.

– Wielka mi strata. Niektórzy z tym żyją i korona im z głowy nie spada.

– Na przykład... tobie.

– Na przykład! – przytaknął obcesowo Pat.

– Po kiego się w to pchasz?... Nie starcza ci na ten rum? – spytał Arizona.

– Nie o rum chodzi. I nawet nie o mnie – zapewnił Pat. – Mnie tam forsa na nic. Jem tyle, co szczygieł, a piję przeważnie za cudze... Rzec jest głębszej natury. Jak by to powiedzieć... dotyczy mego, świętej pamięci, druha... Przyjaciela, rozumiesz?... Cholera! Nie pal tych swoich śmierzdzieli, bo się zaraz uduszę i tyle będziesz wiedział – upomniał.

Arizona odrzucił niedopałek i rozkruszył w palcach tytoń przygotowany do następnego skręta. Zamienił się w słuch.

– To stara historia... – zaczął z namysłem Pat. – Nazywał się John Ovens, ale wolał się na niego... Ringo. Kompan z niego był, jak to mówią, i do bitki, i do wypitki. Można było z nim konie kraść.

– Kradłeś konie?... Nie mów! Lepiej się nie przyznawaj.

– To się tylko tak mówi – zapewnił Pat. – Ale zdarzało się. To był jeszcze dziki kraj i trzeba było sobie jakoś radzić. Jak doszło do wojny z rebeliantami...

– Masz na myśli konfederatów – poprawił go Bob.

– Nie! – nastroszył się Pat i zaakcentował. – Re-be-lian-tów! Tych piekielników z południa. Zaciągnęliśmy się do jankeskiej kawalerii. Obaj. Ja i Ringo. Gdybym żył w Alabamie albo Georgii pewnie służyłbym pod generałem Lee. Ale byliśmy z północy. To były krwawe lata. Mnóstwo chłopaków poszło wtedy do piachu. Ty tego nie wiesz, boś nosił jeszcze portki w zębach...

– Pat... – przerwał mu Bob. – To ma być lekcja historii?

– Słuchaj dalej... Miałem pecha. Podczas pewnej szarży pod Little Rock kula roztrzaskała mi łokieć. I było po łapie. O... – potrząsnął zawiniętym w rękaw koszuli kikutem. – Na szczęście została mi jeszcze druga, żebym się mógł ogolić, no i wiesz...

– Podetrzeć – podpowiedział Bob.

Pat wymownie przemilczał to i ciągnął dalej.

– Jednak z wojska musiałem odejść. Ale Ringo został. Po wojnie wałęsał się z pułkownikiem Reno po Oklahomie, kontrolując ruchy Indian. Czejenowie dali nogę z rezerwatu i trzeba było zrobić z tym porządek. Jak się potem dowiedziałem, szli chłopcy śladem jakiejś zbrojnej watahy i wpadli w zasadzkę. Nie byli to jednak Czejenowie, tylko oddział wrogich Komanczów, siejący śmierć i zniszczenie. Dowodził nimi psubrat nie lepszy od samego Geronimo – Wyleniały Sęp. Ocalały z pogromu chłopak opowiadał, że sprawili im taką łaźnię, że te ich niebieskie mundury zrobiły się całe czerwone. Gdy pytałem o Ringa, powiedział, że jego też.

– Co za różnica dla kogoś, kto już gryzie ziemię – wtrącił Arizona.

Pat zgromił go wzrokiem i kontynuował:

– Pomyślałem sobie, że tak nie może być, żeby jakaś czerwona hołota przelewała krew porządnych obywateli, gotowych oddać życie za ten kraj. I postanowiłem przyjaciela pomścić. Nie było to proste. No bo jak?... Gdzie szukać tych hycli?... Byli jak widmo. Ale musiałem to zrobić, żeby móc spokojnie spać.

Skrzyknąłem kilkunastu gotowych na wszystko zabijaków, podobnie doświadczonych jak ja, i zabawiliśmy się w tropicieli śladów.

– Słowem, założyłeś własną bandę – podsumował Arizona.

– Nazywaj to, jak chcesz. Na co miałem liczyć?... Na Pinkertona albo agentów federalnych?... Trwało to blisko pół roku, ale w końcu ich dopadliśmy. W górach koło Mesa Verde. Zadekowali się tam jak szczury. Osaczyliśmy ich w kanionie, ale niełatwo ich było wykurzyć. Tych, co próbowali się przebijać przez dym, wzięliśmy w krzyżowy ogień i co który wyskakiwał, dostawał kulą w swój pierzasty łeb. W końcu wytłukliśmy wszystkich do nogi. To, co zrobił z Czejenami pułkownik Iverson w sześćdziesiątym czwartym pod Sand Creek, to było małe piwo. Wierz mi.

– Wierzę, wierzę... tylko co to... – chciał zapytać Arizona, ale Pat nie dał mu dokończyć.

– Spokojnie, jeszcze nie skończyłem. Powiedziałem... wszystkich, ale... poza jednym. Gdy wyskoczył z tego kotła, niczym specjalnie się nie wyróżniał. Ot, Indianiec, jak Indianiec. Ale jak wziąłem go na muszkę, coś mnie tknęło... Wymachiwał włócznią, przy której powiewał jak proporzec okazały skalp. Poznałem od razu... Takie blond pukle mogły należeć tylko do jednego człowieka na świecie. Jak myślisz, do kogo?...

– Skąd mam wiedzieć?... Chyba nie do generała Custer? – odparł Bob. – On miał ponoć też takie złote loki.

– Tak, ale przed bitwą pod Little Big Horn się ostrzygł, żeby jakby co nie dać tym skórkoadom satysfakcji, gdyby mu mieli zdjąć skalp.

– I nie zdjęli?

– Tego nie wiem. Ale gdyby nawet, to nie pod Mesa Verde – ciągnął Pat. – To był skalp... Ringa! O pomyłce nie było mowy. Teraz już byłem pewny, że mój druh nie żyje. Nie mogłem patrzeć na tę jego poniewierkę. Musiałem ten pukiel odzyskać, by nie dopuścić do tego, żeby zgnił. Takie włosy!... Ale aby moja zemsta mogła mieć słodki smak, musiałem go wziąć żywcem. To byłoby zbyt proste, gdybym go rąbnął. Śmierć od kuli, chłopcze, dla łotra z piekła rodem jest tylko aktem miłosierdzia. Zamierzałem wsaczyć w dalsze jego życie tyle jadu, żeby zebrał o śmierć.

– Ależ z ciebie zawzięty gość! – przyznał Bob z niekłamany podziwem. – I co, udało ci się go odebrać?

– Wpadnij do mnie, to ci go pokażę – rzekł zachęcająco Pat. – Nie wierzysz? Seth już dwa razy chciał go ode mnie odkupić, żeby powiesić nad wejściem do zakładu. Ale nie ma mowy! Byłbym ostatnim łajdakiem, gdybym go odsprzedał. To przecież kawałek mego przyjaciela. Czasem, gdy na ten kosmyk patrzę, wydaje mi się, że on tam przy mnie jest... cały i zdrowy. Aż mam ochotę do tych włosów zagadać. I wiesz, co?... Nieraz, gdy mam chandrę, to naprawdę tak robię.

Arizona wlepił w starego osłupiałe oczy.

– Chyba żartujesz!... Gadasz do cudzych włosów?... Coś z tobą, chłopie, nie tak. Może powinienes z powrotem przerzucić się z rumu na tytoń.

– Nic nie rozumiesz – mruknął Pat, machając z rezygnacją ręką. – Żałuję, że ci to powiedziałem. Lepiej zapomnij.

– A ty lepiej mów, co zrobiłeś z tym dzikusiem – odpowiedział Bob.

– Chcesz wiedzieć? – udobruchał się Pat i zarechotał: – He, he, he... gdybyś go zobaczył, nie uwierzyłbyś, że można tak nisko upaść! Nie, żebym się nad nim pastwił, ale należała mu się nauczka... Zrobiłem mu prześwit w nodze i przywlokłem na riacie jak psa do fortu Bascom. Ale przedtem psubrata... he-he... oskalpowałem.

– Nie! Zdjąłeś mu skalp?... Nie wierzę! – obruszył się Bob. – I jak to zrobiłeś?... Jedną ręką?

– Pokazać ci? – zapytał Pat, a zabrzmiało to nad wyraz serio.

– Dzięki! Aż tak ciekawski nie jestem. Ale kończ.

– No więc, gdy już wylizał się z ran, stał się atrakcją garnizonowej kantyny, nazywanej odtąd jego imieniem – tawerną „Pod Wyleniałym Sępem”. Nawet nieźle to brzmiało. A dlaczego?... Bo występował w nowej roli. Zamiast pióropusza, na głowę nasadzano mu koronę z jelenich rogów i robił tam za wieszak na kapelusze. A żeby się nie ulotnił jak kamfora uwiązano mu u szyi krowi dzwonek, po to by go było słychać z daleka. Czyścił też oficerom buty i spluwaczki... Przestał być darmożjadem. Ale czy go to wszystko złamało?... Nie wiem. Normalny człowiek by tego nie wytrzymał. Nie mogłem ścierpieć widoku tych jego szklanych gał wlepionych jak martwe w przestrzeń. Patrzył tak, jakby nikogo nie dostrzegał. Tak jakoś na wylot... przez ciebie. W końcu się rozpił i utopił w latrynie.

– Niezły koniec, jak dla wodza – skwitował Bob. – Ale powiedz, do czego pijesz?

Pat wstał z koryta i otrzepał spodnie.

– Ano, życie to taka sprawa, której ostatecznym celem jest grób.... – rzekł w zamysleniu. – Zgadza się?

Arizona tylko wzruszył na to ramionami. Więc Pat ciągnął dalej.

– No i kobyłka u płota... Ringo grobu nie ma, a tak się nie godzi. To nie po chrześcijańsku. Obiecałem sobie, że mu postawię nagrobek, jakiś krzyż... Obojętnie gdzie, bo i nie ważne, gdzie się leży. Chodzi o to, żeby tylko jakoś uczcić jego pamięć. Tak po prostu... po ludzku... po bożemu.

– No, to ileż to roboty? – zdziwił się Bob.

– Może i niewiele, ale to kosztuje. A ja przez te lata dorobiłem się tylko podagry i lumbago. A do tego latka lecą... Nie łudźmy się, długo nie pociągnę. I kto wtedy spełni moją obietnicę?

– No, co ty... trzymasz się całkiem nieźle jak na stulatka – zażartował Bob, by go pocieszyć.

– Tak ci się tylko wydaje – westchnął Pat. – Ale fakt, do zbawienia jeszcze nie dojrzałem. Jeszcze potrafię przywalić albo coś zrobić. No, a ty mógłbyś mi z dobrego serca pomóc.

Widząc, że Bob wciąż bije się z myślami, zrezygnował z dalszego wywierania na niego presji.

– Rób, synu, jak uważasz – rzucił, ruszając wolno z miejsca. – Nie zapominaj tylko, że może przelecieć ci koło nosa życiowa szansa, przez co i mnie odbierzesz ostatnią może nadzieję. Gdybyś jednak zmądrzał i zmienił zdanie, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Powiedziawszy to, zatknął kikut ręki za szelkę i, szurając buciorami, odszedł.

Arizona został sam na sam z kłębiącymi się w głowie, niczym węzowisko jadowitych grzechotników, myślami. Uczciwość i lojalność wobec prawa, jakie przecież reprezentował, nakazywała mu bezzwłocznie odrzucić chytrą propozycję. Z drugiej jednak strony, szansa w miarę łatwego zdobycia gotówki była pokusą nie lada. Miotające nim sprzeczne uczucia w takim stopniu wytrąciły go z równowagi, że trudno mu było powziąć prawdziwie męską decyzję. Postanowił przemyśleć to sobie jeszcze po drodze.

Ruszył wolno z miejsca, kierując kroki w stronę urzędu. Naraz...

– Señor Barcelona!... Señor Barcelona!... – rozległ się za jego plecami skrzekliwy, przyprowadzający o ciarki na grzbiecie głos.

Wykonał błyskawiczny półobrót, zaciskając odruchowo prawą dłoń na rękojeści colta. Ujrzawszy jednak przed sobą wystraszoną tym nagłym odruchem samoobrony, przygarbioną, pomarszczoną babinę, rozluźnił uścisk, rzucając przez zaciśnięte szczęki:

– Dolores!?!... Niech cię piekło pochłonie! Nazwij mnie jeszcze raz... Barcelona, a nie ręczę za siebie. Czego chcesz?

– Por fawor, señor... nie strzelać! – zaskrzeczała, machając rękami. – Ja nie chcę nic. Ja tylko szukać mój el gato.

– Mów po ludzku! – fuknął Arizona.

– Si, si... bueno... Ja szukać Chico, moja kota... komprenez? Może jest u señor Fred – zaskrzeczała.

– To taki rudzielec z wygryzionym uchem? – zapytał Bob i dodał. – Lepiej go pilnuj, matko, bo za bardzo się wałęsa po mieście. Jeszcze będzie z tego jakieś nieszczęście – a pod nosem mruknął: – Zdziwisz się, babo, kiedy znajdziesz jego trupa.

– Oh, por Dios... por Dios... – podniosła lament Dolores, załamując ręce. – To gdzie ja mieć teraz go szukać?

Wlepiła w Boba z nadzieją wyblakłe oczy.

– Idź do Snoopy’ego, do kuźni. Tam pełno myszy, może poszedł tam harcować – celowo skierował ją na fałszywy trop, żeby szwendając się nie przeszkadzała mu i żeby uniknąć jej lamentu w chwili, gdyby sam tego kota odnalazł.

– Gracias!... Muchas gracias, señor Bar... – podziękowała, ale pomna przestrogi w porę ugryzła się w język i poczłapała z powrotem.

Bob machnął na odczepnego ręką, rad, że pozbył się staruchy i też ruszył w swoją stronę.

– Kici... kici... kici... – doleciało mu jeszcze do uszu jej natrętne nawoływanie przypominające skrzeczenie sroki.

Mijając po drodze kilka grupek rozprawiających żywo mężczyzn, skinął im od niechcenia ręką i nie zaczepiany już przez nikogo doszedł do urzędu.

Przed schodkami na ganek zatrzymał się i schyliwszy zajrzał pod spód chodnika, sprawdzając, czy nie ma tam akurat tego, co spodziewał się znaleźć.

I intuicja go nie zawiodła. Pod jednym z pniaków podtrzymujących konstrukcję budynku dostrzegł coś, co swym długim, cienkim kształtem przypominało jakby... ogon. Ale równie dobrze mógł to być ogon węża.

Przypadł plackiem do ziemi i ostrożnie, tak daleko, jak tylko mógł, wsunął rękę pod chodnik. Przełamując obrzydzenie, pochwycił to coś w dłoń i przyciągnął ku sobie z całą resztą zawartości, jaka się za tym ciągnęła. Uważając na wystające gwoździe, wyczołgał się spod podestu.

Podniósł się i, wyciągnąwszy przed siebie rękę, przyjrzał się uważnie zdobyczy. Tak, bez wątplenia, nie był to wąż, tylko kot, a raczej jego fragmenty, rozerwane sporego kalibru kulą, przez które, przymknąwszy oko jak przez dziurkę od klucza, widać było to, co za nimi. Dziwiąc się, jakim cudem tak okaleczony zwierzak zdołał jeszcze wczołgać się pod podłogę, przyznał w duchu, że jednak szeryf nie bez racji chełpił się celnym okiem. To był wystarczający dowód, który tę jego pewność siebie potwierdzał. Odrzucił

ze wstrętem kocie szczątki na bok i, otrzepawszy dłonie, wsparł nogę o krawędź chodnika, zastanawiając się, co robić dalej.

Głos rozsądku podpowiadał mu, że powinien wejść do kantoru i – czy to po swojej, a raczej Pata, czy też po szeryfa myśli – zamknąć wreszcie całą tę zagmatwaną sprawę.

Aby ostatecznie utwierdzić się w przekonaniu co do trafności swych przypuszczeń, choć wszystko już było jasne, spróbował raz jeszcze odtworzyć w myślach przebieg zdarzenia...

Spojrzał na wybite okno, po czym przeniósł wzrok na drogę, zatrzymując go w miejscu, gdzie widniała duża brunatna plama. Wszystko pasowało do siebie jak ulał, niczym kostki dobrze ułożonego domina.

Oczyma wyobraźni widział w przestrzeni tę prostą linię oddanego przez szeryfa strzału, która idealnie łączyła ze sobą owe trzy punkty, leżące na tej samej wysokości i w tej samej płaszczyźnie – okno, balustradę ganku, gdzie miał siedzieć kot i wirtualny wizerunek jeźdźca, który przypadkiem akurat znalazł się na tej prostej.

Nie budziło to w nim żadnych wątpliwości. Problem był tylko w tym, jak to przyjmie szeryf. Na zdrowy rozum powinien przyznać się do zabójstwa Rudego Billa, obojętnie, czy był to przypadkowy strzał zniechacka, czy też oddany z pełną świadomością czynu. Był to wszak wyjęty spod prawa i ścigany listem gończym złoczyńca, którego tak czy owak należało wyeliminować. I była za to nagroda. Za żywego lub nie. A skoro tak, wzbranianie się przed przyjęciem jej byłoby bez sensu. W tej kwestii nikt nie powinien mieć jakichkolwiek skrupułów. Jeśliby jednak Loverly uważał, że ze względu na specyficzne okoliczności nie bardzo mu się ona należy, mógłby ją po prostu w całości przeznaczyć na jakiś zbożny cel albo się nią podzielić. Z kim?... Ano, z nim i Fredem. Bądź co bądź, jako zastępcy szeryfa byli jego współnikami.

Wydawałoby się, że ten tok rozumowania załatwia sprawę, chociaż nie do końca. Bowiem trudno było przewidzieć, co sam szeryf teraz sądzi o tym wszystkim. Być może doszedł do wniosku, że nie ma co zaprzeczać, unosząc się honorem, że to z jego ręki padł Rudy Bill, bo żaden pieniądz, jak wiadomo, nie śmierdzi. A on, jak każdy, kto bywał w stajni częstym gościem nie był zbyt uczulony na zapachy.

Ale był jeszcze drugi aspekt tej sprawy. Szatański pomysł Pata, żeby to on przyznał się do zabicia Billa i odebrał za to nagrodę. Bo skoro już się należy?... Pod warunkiem wszakże, że szeryf da wiarę zeznaniom Pata i może jeszcze kogoś tam innego i nie

pogoni go do wszystkich diabłów, tylko wyśle do stanowych władz potwierdzenie tego faktu. Wolał jednak nie myśleć, co będzie, jeśli tego nie zrobi. Wtedy Pat wyjdzie na łgarza, a on na naciągacza. A to tyle samo, co włożyć głowę w stryczek. Skoro tak, to lepiej od razu brać nogi za pas i wiać, gdzie pieprz rośnie. Lovery nigdy by mu nie wybaczył próby wyłudzenia nagrody jego kosztem. Ten wstyd przyrósłby do niego, jak niezmywalny brud na ciele. I to na całe życie.

Arizona poczuł, jak mu pod kapeluszem wilgotnieją skronie. Wiedział, że wreszcie musi podjąć jakąś decyzję. Czas szybko mijał, a zwłoka mogła zadziałać na jego niekorzyść. Zły był na siebie, że w ogóle słuchał tego mąciwody Pata. Namieszał mu w głowie szansą łatwego zysku bez kiwnięcia palcem, a teraz zostawił go samego z tym problemem. I mimo że rozum podpowiadał mu, żeby wycofać się z tej hecy, to jednak pokusa, że a nuż się uda, była nie do odparcia.

Pewne było tylko jedno. Że bez względu na to, która wersja wydarzenia okaże się dlań korzystniejsza, jedną z nich Lovery będzie musiał wybrać. Po to, by zaspokoić ciekawość ludzi, i żeby raport do władz, jaki na tę okoliczność przyjdzie mu sporządzić, był wiarygodny i nie budził zastrzeżeń. Tam bowiem, gdzie ginie człowiek, nie może być niejasności. Skoro ktoś dostał kulka w głowę, musi być ktoś, kto tę kulkę posłał. Sprawca wszak nie może rozplynać się w powietrzu jak dym. Zatem wszystko teraz było w rękach szeryfa, który zwykł trzymać się zasady... że jeśli nawet czasem nie ma racji, to nigdy się nie myli.

Wóz albo przewóz! – pomyślał Bob, zdając się na zrządzenie losu, i podnosząc z ziemi za ogon koci zewłok, z duszą na ramieniu wszedł na schodki wiodące do urzędu. Pchnął nogą uchylone drzwi i wszedł do środka.

W stojącym koło żeliwnego pieca bujaku rozparty jak pasza Fred smacznie sobie drzemał.

– Hej, śpiochu, zbudź się!... Czas krowy doić! – zawołał, siląc się na żart.

Fred przeciągnął się, szeroko ziewnął i, otworzywszy oczy, aż podskoczył.

– Wielkie nieba!... A cóż to za paskudztwo?... – wrzasnął. – Chcesz, żebym dostał zawału?

– Spokojnie, ojczulku, bez obawy. To tylko to, co zostało z twego ulubieńca. Po tym, jak go szeryf przeświadczył.

– A niech go piekło pochłonie! – wzdrygnął się Fred i wyraźnie ucieszył. – Nareszcie ma za swoje... Na diabła go tu przyniosłeś? Nie wiesz, gdzie jest śmietnik?

– Szef go musi zobaczyć. To dowód – rzekł lakonicznie Bob.

– W tej śmierdzącej sprawie?... A to się szeryf ucieszy – zakpił Fred.

– Zgadłeś! Jesteś coraz bystrzejszy – dogryzł mu Bob i upomniał: – Czemu nie ryglujesz drzwi?

– Wielkie mi rzeczy... w biały dzień... – mruknął Fred wykrętnie. – Wyrzuć lepiej to ścierwo, bo śmierdzi.

– Jesteś głuchy?... Mówię, że to dowód – powtórzył Bob, rozglądając się po izbie.

– A gdzie szef?... Nie widziałem, żeby wychodził.

– Gadasz, jakbyś tego nie wiedział. Poszedł się odlać do celi.

– Szkoda mu nóg, żeby iść za dom, do wychodka? – mruknął Bob.

Ledwo wypowiedział te słowa, w furcie kraty oddzielającej biuro od aresztu ukazała się postawna sylwetka szeryfa zapinającego guziki u rozporka.

– Noo?... Co tam?... – zapytał, rzucając okiem na ścienny zegar. – Rychło w czas przychodzisz do pracy... Aa... brawo! Widzę, żeś znalazł – pochwalił Boba, dostrzegłszy w jego ręku martwego zwierzaka. – Teraz mi wierzysz?... Widzę, że masz zadatki.

– Na co? – zdziwił się Arizona.

– Noo, gdybym cię tak kiedyś wylał z roboty, zawsze będziesz mógł zostać... hyc-lem.

– To miał być żart? – spytał Bob, robiąc kwaśną minę. – Wcale nie śmieszny. Myślałem, że pan zechce sprawdzić wynik swych strzeleckich popisów... Nie ma co... Frank Butler wysiada! Przeszył pan tego rudzielca na wylot. Całkiem jak to okno – dodał znacząco.

Loverly wyprężył się i popatrzył na swego zastępcę z góry.

– Chłopcze, zapamiętaj... – rzekł wolno, cedząc każde słowo – ja nie muszę sprawdzać niczego. Że nie chybiam... wiem! Więc wyrzuć, do cholery, to świństwo.

– A nie mówiłem? – wtrącił Fred. – W dodatku śmierdzi.

Arizona bez słowa podszedł do okna i uważając, by nie trafić w kratę, z rozmachem wyrzucił kota na zewnątrz. Wykrzywił twarz kpiącym uśmiechem.

– Kurde!... To nawet duża wygoda mieć w domu takie okno – zauważył uszczypliwie, wycierając dłoń o nogawkę spodni.

– Wyniosłeś te maniery z domu? – skarcił go szeryf i zapytał: – Masz dla mnie coś jeszcze? Miałeś się rozeznąć w sytuacji... No to gadaj, co z tym truposzem na ulicy. Znalazł się pretendent do nagrody?

– Tak, jakby... – zaczął z wahaniem Arizona, ale Lovery nie dał mu dokończyć.

– Co znaczy... tak, jakby?... Co to za odpowiedź?

– Noo... wie pan... na początku nie byłem tego pewien, ale w końcu okazało się... jakby to powiedzieć... – plątał się Bob. – A zresztą, co ja tam będę gadał. Zawołam Pata, to on panu wytłumaczy. Był świadkiem i wszystko widział – wyrzucił jednym tchem, robiąc krok w stronę drzwi.

– Zaraz, zaraz... powoli!... Coś taki w gorącej wodzie kąpany?... Czy ja cię poganiam? – powstrzymał go Lovery. – Tylko Pata mi tu brakuje... Cholerny, stary krętacz!... Nie chcesz chyba powiedzieć, że to twoja sprawka? – dodał, przypatrując się mu podejrzliwie.

W Arizonę jakby piorun trafił. Poczuł, jak fala ciepła uderza mu do głowy, zabarwiając twarz czerwonym pąsem. Ale opanował emocje przynajmniej na tyle, że ze wstydu nie zgorzał. Zacisnął szczęki, aż do bólu, obiecując sobie w duchu, że jak dorwie Pata, to mu te jego głupie pomysły razem z zębami z głowy powybijają. Robiąc jednak dobrą minę do złej gry, zaprotestował:

– A dlaczego by nie?... Uważa pan, że gorzej od niego strzelam i nie trafiłbym w tak duży cel?

– Masz mnie za durnia?! – huknął szeryf. – Zbyt długo naradzałeś się z tym jedno-rękim zbójem, a to podejrzana sprawa. Przyjrzałem się wam uważnie. Już ja go znam. Ten stary pryk, to chytry lis, kombinator i naciągacz. Każda minuta rozmowy z nim musi drogo kosztować. Myślisz, że nie wiem?... Synu! O czymkolwiek by z nim nie gadać, zawsze jest to gadanie o forsie. Może nie? – zawiesił głos, grożąc palcem.

– Szefie, ja tylko chciałem powiedzieć... – bronił się Arizona, ale szeryf nie dał mu szans.

– Lepiej zastanów się, zanim coś powiesz – ostrzegł. – Dobrze ci radzę, trzymaj się z dala od tego kuternogi...

– Te... mądrało, uważaj co mówisz! – krzyknął naraz urażony Fred.

– Sorry, dziadku, to nie do ciebie... – uspokoił go szeryf i poprawił się: – Od tego bez ręki. Pewnie plótno ci androny o jakimś kamracie, który wart jest nagrobka, a on na to